

Molière: Przedmowa do „Świętoszka”

Wiem, że istnieją umysły, które w swej drażliwości wrogo odnoszą się do każdej komedii w ogóle. Ci ludzie twierdzą, iż im która poczciwsza, tym bardziej niebezpieczna, ponieważ odmalowane w nich uczucia, im bardziej zacne, tym łatwiej trafiają do duszy, przyprawiają o wzruszenia. Nie pojmuję, czemu ma być zbrodnią wzruszenie wywołane obrazem godziwego uczucia; to jakiś bardzo wysoki szczebel cnoty ta zupełna bezczułość, do której ludzie tak myślący pragnęliby podnieść naszą duszę – pisał Molière w przedmowie do „Świętoszka”. Tekst przypominamy w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Molier. Rozpoznanie śmiechem”.

Oto komedia, która narobiła wiele hałasu i narażona była na długie prześladowania. Losy jej stanowią wymowny dowód, że ludzie, których wyszydza, są we Francji o wiele potężniejsi niż wszyscy, z których autor żartował sobie dotąd. Markizowie, wykwintnisie, rogacze i lekarze znosili potulnie to, iż ośmielono się przedstawić ich na scenie; udawali nawet, że i oni wraz z całym światem bawią się zdjętymi z nich żywcem wzorkami. Ale obłudnicy nie puścili tak łatwo szyderstwa mimo uszu; uczuli się dotknięci i w ogóle zdumieni tym, iż ktoś ośmielił się wydrwić ich szalbierstwo i targnąć na rzemiosło, którym się trudni tyle możnych i wpływowych osób. Takiej zbrodni nie mogli mi przebaczyć; toteż wszyscy ruszyli w pole przeciw mej sztuce z nieopisaną wprost zjadłością. Rozumie się samo przez się, iż nie zaczepili jej o to, co ich uraziło — zbyt dobrymi politykami są na to i zbyt wiele mają sprytu, aby tak odsłaniać wnętrze własnej duszy. Idąc za swym chwalebny obyczajem, osłonili pobudki osobiste sprawą Boga: *Tartufe* wedle ich sądu stał się utworem obrażającym religię. Podług nich, sztuka ta jest od początku do końca pełna wszelakiej ohydy; nie ma w niej nic, co by nie zasługiwało na zniszczenie ogniem. Każda zgłoska jest bezbożna; gesty nawet są zbrodnicze: najlżejsze drgnienie oka, ruch głowy, najmniejszy krok na prawo lub na lewo kryją dla tych panów tajemnice, które umieją wykladać na mą niekorzyść.

Nic nie pomogło, iż przedłożyłem sztukę sądowi przyjaciół i ocenie całego świata; na nic nie zdały się poprawki, które postarałem się wprowadzić; sąd samego króla i królowej, przychylne mniemanie książąt krwi i panów ministrów, którzy zaszczytili publicznie mą sztukę swoją obecnością; świadectwo zacnych i bogobojnych ludzi, którzy uznali ją za budującą — wszystko to nie zdało się na nic. Wrogowie moi nie chcą dać za wygraną: codziennie jeszcze podsycają publiczne krzyki zbyt gorliwych zelantów, którzy obsypują mnie obelgami z czystej pobożności i ciskają na mnie kamieniem przez chrześcijańskie miłosierdzie.

Niewiele bym się pewnie troszczył o sądy tych panów, gdyby nie przebiegłość, z jaką szkodzą mi w oczach osób, które poważam. Umieci wciągnąć do swego stronnictwa ludzi naprawdę czcigodnych, których dobrej wiary udało się im nadużyć; ci bowiem, przez żarliwość właściwą im we wszystkim, gdzie idzie o sprawę nieba, łatwo ulegają wpływom starającym się trafić do nich z tej strony. Oto, co mnie zmusza do tego, by podjąć obronę. Chodzi mi o osoby naprawdę nabożne i przed nimi pragnę oczyścić z zarzutów swą sztukę. Zaklinam je z całego serca, aby nie potępiały rzeczy, nim jej nie sprawdzą własnymi oczyma, aby się wyzbyły wszelkiego uprzedzenia i nie dały się używać za narzędzie złości tym, których obłuda ujmę przynosi prawdziwie wierzącym.

Kto sobie zada trud rozpatrzenia się z dobrą wiarą w mej komedii, spostrzeże niewątpliwie, że intencje jej są wszędzie na wskroś niewinne i że nie ma ona bynajmniej zamiaru szydzić z rzeczy godnych poważania; że postępowałem sobie z całą ostrożnością, jakiej wymaga drażliwość przedmiotu i że dołożyłem całej sztuki i wszystkich możliwych starań, aby dobrze odróżnić charakter obłudnika od człowieka naprawdę pobożnego. Obróciłem całe dwa akty umyślnie na to, aby przygotować zjawienie się zbrodniarza. Nie trzyma on ani przez chwilę słuchacza w niepewności: każdy go pozna od pierwszego rzutu oka po cechach, którymi go nazaczyłem; od początku do końca nie mówi ani słowa, nie spełnia ani jednego uczynku, który by nie malował charakteru niegodziwca, a nie uwydatniał przymiotów prawdziwie zacnego człowieka, będącego jego przeciwstawieniem.

*Kto sobie zada trud
rozpatrzenia się z dobrą wiarą
w mej komedii, spostrzeże
niewątpliwie, że intencje jej
są wszędzie na wskroś
niewinne i że nie ma ona
bynajmniej zamiaru szydzić z
rzeczy godnych poważania*

Wiem dobrze, że jako
odpowiedź ci
panowie starają się
szerzyć mniemanie,
iż nie w teatrze jest
miejsce, aby
poruszać tego
rodzaju przedmioty;
ośmielę się jednak
spytać, za ich
pozwoleniem, na
czym opierają tę

piękną zasadę. Albowiem twierdzenie to podsuwają jedynie, lecz nie starają się go dowieść w najmniejszym sposobie. To pewna, iż nietrudno byłoby wykazać, że komedia u starożytnych wzięła swój początek z religii i stanowiła część jej obrzędów; że Hiszpanie, nasi sąsiedzi, nie obchodzą żadnego święta bez udziału komedii; u nas nawet zawdzięcza ona początek staraniom bractwa, którego dziś jeszcze własnością jest *pałac Burgundzki*. Miejsce owo zostało oddane na to, aby w nim przedstawiano najważniejsze tajemnice naszej wiary; dziś jeszcze można oglądać owe „komedie”, drukowane gotyckimi czcionkami, a podpisane nazwiskiem doktora Sorbony, a nie szukając nawet tak daleko, grywano tam za naszych czasów tak budujące sztuki pana de Corneille, które stały się przedmiotem podziwu całej Francji.

Jeśli zadaniem komedii jest poprawiać przywary ludzkie, nie pojmuję, czemu niektóre z nich mają być pod tym względem uprzywilejowane. Ta, o której mowa, bardziej niż inne groźną jest dla społeczeństwa; widzieliśmy zaś, że gdy chodzi o poprawę błędów, wpływ teatru może być nader znaczny. Najpiękniejsze usiłowania poważnej moralności okazują się zazwyczaj mniej potężne, aniżeli bicz satyry; gdy chodzi o poprawę, nic tak skutecznie nie wpływa na ludzi, jak odmalowanie ich przywar. Najstraszliwszy cios zadaje się ułomnościom, wystawiając je na szyderstwo świata. Ludzie znoszą z łatwością przyganę, ale nie szyderstwo. Człowiek godzi się na to, iż może być złym, ale nikt nie godzi się być śmiesznym.

Zarzucają mi, iż włożyłem w usta szalbierza język prawdziwej nabożności. Jakże więc? Mogłem tego poniechać, gdy chodziło o wierne przedstawienie obłudnika? Wystarcza, o ile mi się zdaje, że odsłoniłem zbrodnicze pobudki, dyktując mu ten język, i że usunąłem zeń uświęcone terminy, które obrócone w jego ustach na karygodny użytek słusznie mogłyby razić. — Lecz on wygłasza w czwartym akcie zasady z gruntu przewrotne. — Ale czy w tych zasadach mieści się cokolwiek, co by nie było oklepanym i znanym całemu światu? Czy one głoszą w mej komedii cokolwiek nowego? I czy można się obawiać, aby rzeczy tak powszechnie zohydzone wywarły jakiegokolwiek wrażenie na umyśle, aby autor przydał im niebezpieczeństwa każąc im przemawiać ze sceny, aby nabierały powagi wypowiedane przez usta zbrodniarza? Nie ma co do tego najmniejszej obawy; zatem powinno się ocenić przychylnie komedię o „Świętoszku” lub też potępić w czambuł wszystkie komedie w ogólności.

Ku temu też zmierzają od pewnego czasu niektórzy i to z całą zajadłością; nigdy nie miotano się tak gwałtownie przeciwko teatrowi. Nie mogę przeczyć, że istnieją ojcowie kościoła, potępiający komedię, lecz nie można mi również zaprzeczyć, że byli między nimi i tacy, którzy żywili o teatrze nieco łagodniejsze mniemanie. W ten sposób powaga, którą by usiłował ktoś poprzeć swoje wyroki, zachwiana jest tym rozdwojeniem, a jedyny wniosek, jaki można wyciągnąć z tej różnicy zdań w umysłach ludzi oświeconych światłem płynącym z tegoż samego źródła jest to, że brali oni komedię z rozmaitego punktu widzenia: jedni rozważali ją w czystej postaci, podczas gdy drudzy sądzili ją w jej zepsuciu i mieszały ze wszystkimi szpetnymi widowiskami, które z całą słuszością nazwano widowiskami ohydy.

*Należy przede wszystkim
zdać zasłonę dwuznacznika i
przyjrzeć się, czym jest
komedia sama w sobie, aby
zobaczyć, czy jest w istocie
godną potępienia*

I w istocie, jeśli
mamy mówić o
rzeczach, a nie o
słowach, i skoro
sprzeczności
pochodzą
przeważnie stąd, że
ludzie nie umieją się
porozumieć i

podkładają pod ten sam wyraz sprzeczne pojęcia, należy przede wszystkim zdjąć zasłonę dwuznacznika i przyjrzeć się, czym jest komedia sama w sobie, aby zobaczyć, czy jest w istocie godną potępienia. Uznamy wówczas z pewnością, że jest ona nie czym innym, jak tylko zmyślnym utworem poetyckim, który za pomocą przyjemnie podanej nauki tępi przywary ludzkie — nie zasługuje zatem zgoła na przyganę. Jeżeli zechcemy posłuchać w tej kwestii starożytności, powie nam ona, że najsłynniejsi jej filozofowie nie szczędzili pochwał komedii, oni, którzy głosili zasady tak surowej cnoty i powstawali nieustannie przeciw błędom swego wieku. Ukaże nam ona, że Arystoteles poświęcał teatrowi swój czas i mozoły i zadał sobie trud ujęcia w reguły sztuki pisania komedii. Nauczy nas ta starożytność, że jej najwięksi ludzie i pierwsi dostojnicy czynili sobie chwałę z tego, aby układać sztuki dla teatru, że byli inni, którzy nie wstydzili się recytować publicznie własnych utworów. Grecja dała świetny wyraz czci dla tej sztuki przez wspaniałe nagrody i pyszne teatry, poświęcone jej kultowi; w Rzymie wreszcie taż sama sztuka otoczona była niezmiernymi zaszczytami; nie mówię w Rzymie zepsutym i w czasie wyuzdanego cesarstwa, lecz w Rzymie karnym i surowym, pod roztropnym rządem konsulów i w czasie pełnego rozkwitu rzymskiej cnoty.

Wyznam, że bywały czasy, w których komedia uległa skażeniu. I czegoż na tym świecie ludzie każdego dnia nie psują? Nie masz rzeczy tak niewinnej, z której by nie mogli uczynić narzędzia zbrodni; nie masz sztuki tak godziwej, której intencji nie byliby zdolni przeinaczyć; niczego tak dobrego w istocie swojej, czego by nie mogli obrócić do złego użytku. Medycyna jest pożyteczną sztuką i każdy ją uważa jako jedną z najlepszych rzeczy, które posiadamy — a jednak był czas, gdy otoczona była wstrętem i często czyniono z niej sztukę zabijania ludzi. Filozofia jest wszak darem niebios, została nam dana, aby wznosić nasz umysł do poznania Boga przez rozważanie cudów przyrody — a przecież nie jest dla nikogo tajemnicą, że nieraz odwracano tę naukę od jej przeznaczenia i używano jej publicznie do podsycania bezbożności. Najświętsze nawet rzeczy nie są bynajmniej ubezpieczone przed ludzkim zepsuciem: widzimy wszak zbrodniarzy, którzy codziennie nadużywają pobożności i posługują się nią przewrotnie do najczarniejszych występków. Mimo to należy koniecznie rozróżniać. Nie godzi się opacznie mieszać wartości rzeczy, które podlegają zepsuciu, ze złośliwością tych, którzy je psują. Należy zawsze oddzielić zamiary jakiejś sztuki od jej złego spożytkowania. Podobnie jak nikt nie

poważąby się zabronić medycyny dlatego, że ją wygnano z Rzymu, ani też filozofii, ponieważ publicznie potępiono ją w Atenach, tak samo nie powinno się występować przeciw komedii dlatego, że ją surowo osądzono w pewnych epokach. Ten wyrok miał niewątpliwie wówczas swoje przyczyny, które tutaj nie istnieją. Sąd ów odnosił się do tego, co miał przed oczami, nie godzi się tedy przesuwając go poza granice, które sobie sam zakreślił, rozciągać go dalej, niż przystoi, i ścigać za jego pomocą niewinnego wraz z winnymi. Komedie, w którą ów wyrok miał zamiar ugodzić, nie jest bynajmniej tożsamą z komedią, której my zamierzamy bronić. Bezwarunkowo nie należy mieszać ich z sobą. Są to niejako dwie osoby, których obyczaje na wskroś są od siebie odmienne. Jedna z drugą nie ma żadnego związku, prócz podobieństwa w nazwie — toż byłoby straszliwą niesprawiedliwością chcieć potępić Olimpię, która jest kobietą ze wszech miar szanowną, dlatego, że istnieje Olimpia pędząca rozpustne i naganne życie. Podobne wyroki musiałyby wprowadzić w ludzkie stosunki największe zamieszanie. W ten sposób nie ostałoby się nic przed potępieniem; skoro więc nie stosujemy bynajmniej tej surowości do tylu rzeczy podlegających codziennym nadużyciom, winilibyśmy przyznać tę samą łaskę i komedii i nie potępiać sztuk teatralnych pisanych w godziwych i budujących celach.

Wiem, że istnieją umysły, które w swej drażliwości wrogo odnoszą się do każdej komedii w ogóle. Ci ludzie twierdzą, iż im która pocziwsza, tym bardziej niebezpieczna, ponieważ odmalowane w nich uczucia, im bardziej znaczne, tym łatwiej trafiają do duszy, przyprawiają o wzruszenia. Nie pojmuję, czemu ma być zbrodnią wzruszenie wywołane obrazem godziwego uczucia; to jakiś bardzo wysoki szczebel cnoty ta zupełna bezczułość, do której ludzie tak myślący pragnęliby podnieść naszą duszę. Wątpię, czy natura ludzka ma dość siły, aby się wznieść do takich wyżyn, i nie wiem, czy nie lepiej pracować nad tym, aby dobrze kierować i łagodzić ludzkie uczucia, niż chcieć je wyrugować z człowieka w zupełności. Przyznaję, że istnieją miejsca, które można odwiedzać z większym pożytkiem dla duszy, niż teatr; jeśli ktoś ma zamiar potępić wszystkie sprawy, które nie dotyczą bezpośrednio służby bożej i troski o zbawienie, nie ulega wątpliwości, że i komedia musi się znaleźć w ich rzędzie; wówczas godzę się, aby ją potępić razem ze wszystkim innym. Lecz przyjąwszy, jak jest w istocie, że w wykonywaniu pobożnych ćwiczeń dozwolona jest niejaka pauza i że pewna rozrywka niezbędna jest dla ludzi, twierdzę, że nie możemy

wynaleźć dla nich niewinniejszej uciechy. Rozwiódłem się nad tą kwestią może zbyt obszernie; zakończymy rzecz przytoczeniem uwagi pewnego dostojnego księcia krwi o komedii *Tartufe*.

W tydzień po zakazie grania tejże wystawiono przed zebrany dworem sztukę *Scaramusz* pustelnikiem. Wychodząc, król odezwał się do księcia, o którym wspomniałem: „Rad bym bardzo wiedzieć, czemu ludzie, którzy się tak bardzo gorszą komedią Moliera, nie mówią ani słowa na *Scarumusza?*”. Na co ów książę odpowiedział: „Przyczyna w tym, że *Scaramusz* szydzi z nieba i religii, o co ci panowie niewiele się troszczą, podczas gdy sztuka Moliera maluje ich samych — i tego nie mogą ścierpieć”.

Przeł. Tadeusz Boy-Żeleński

Foto: